



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Józef Dąbrowski

## Moja „Mała ojczyzna”

Jeziorki – tak w okolicy nazywano mieszkańców wsi Białe Jezioro położonej niedaleko Brześcia nad Bugiem na terenie dzisiejszej Białorusi. Tu przyszedłem na świat w roku 1937. Wioski dziś już nie ma, jej mieszkańcy rozproszyli się po świecie.

W pamięci zachowało się niewiele z dziecinnych lat. Mój ojciec pochodził z Zamosza, miał na imię Franciszek. Mama, o imieniu Adolfa, urodziła się w Łachwie. Oboje rodzice mieli takie samo nazwisko – Dąbrowski. Kiedy się pobrali, wybudowali dom na brzegu Białego Jeziora. Cała wieś liczyła wówczas 20 domów. Osiedliła się tutaj cała rodzina – brat matki z bratową, brat ojca z żoną i dziećmi. Nazywali się wszyscy Dąbrowscy. Oprócz Dąbrowskich mieszkali tu tylko Trybulscy i Szulcowie. Szulcowa była moją matką chrzestną.

Przed wojną i w czasie wojny ja i moje rodzeństwo byliśmy za mali żeby chodzić do szkoły. Pamiętam jednak jak inne dzieci biegały na lekcje. Marzyłem wówczas o chwili, kiedy zostanę uczniem. Szkoła znajdowała się blisko cmentarza z drewnianymi krzyżami, który budził lęk w dziecięcej wyobraźni. Nigdy nie lubiłem sam tamtędy chodzić.

Z chwilą wybuchu II wojny światowej dla jeziorkaków zaczęły się trudne czasy. Nocą przychodzili partyzanci. Byli wśród nich rozmaici ludzie. Niektórzy chcieli tylko przenocować, prosili o jedzenie i odzież. I tym moi rodzice nigdy nie odmawiali pomocy. Ale czasami przychodzili też inni – banderowcy. Kazali ojcu jechać razem z nimi i pokazywać drogę, albo zabierali matkę na parę dni do obozu, żeby im piekła chleb i wyprała ubrania. W dzień przychodzili Niemcy – okrążali wieś i szukali partyzantów, a nie znajdując żadnych śladów po ich pobycie zostawiali nas w spokoju aż do następnej oblawy.

Przypominam sobie wydarzenie, kiedy Niemcy zajęli chatę z zamiarem spędzenia w niej nocy i przygotowania zasadzki. Wieczorem zaczął się ostrzał. Rzuciłem się do okna, aby obserwować co się dzieje. Niemiec odepchnął mnie. Przed domem leżał zabity partyzant, prawdopodobnie zwiadowca, który nie spodziewał się zasadzki. Przykryte pałatką ciało pozostało w tym miejscu przez cały następny dzień. Do dziś stoi tu naznaczone strzałami drzewo, przypominające o zabitym.

Tego wieczoru Niemcy zabili jeszcze jednego partyzanta, który nadszedł z drugiej strony wioski. Po strzelaninie opuścili wieś sądząc zapewne, że partyzanci już tu nie przyjdą. Podczas kolejnego pobytu we wsi Niemcy nakazali, aby wszyscy mieszkańcy w ciągu dwóch godzin zabrali swój dobytek i przenieśli się do wsi Bostyń. Rozkaz wydany był w południe, a już wieczorem Białe Jezioro przestało istnieć. Na oczach gospodarzy hitlerowcy spalili ich domy. Było to na początku maja 1944 roku. Pamiętam, że wypuściliśmy z gospodarstw nasze króliki, żeby uchronić je przed śmiercią.

W Bostyniu znaleźliśmy się w bardzo trudnej sytuacji. Każda rodzina musiała sobie wykopać ziemiankę. Niektórzy pogorzelnicy nie zwracając uwagi na zakaz chodzili na zgliszcza Białego Jeziora, aby sprawdzić co zostało z ich upraw. O ile dobrze pamiętam w czasie tych wypadów na pogorzelnisko zginęło z rąk Niemców 5-7 mieszkańców naszej wsi.

Po wojnie jezioracy powrócili na swoje tereny i zaczęli odbudowywać domy. Dookoła był las, więc drzewa nie brakowało. Ściany mojego rodzinnego domu były postawione do połowy, gdy ojca powołano do służby wojskowej w Armii Czerwonej. Wkrótce jednak powrócił do nas, gdyż uznano go za inwalidę. Dom został ukończony, podobnie jak domy sąsiadów. Wieś znowu ożyła...

Zaskoczeniem i wstrząsem dla nas wszystkich był wydany w maju 1945 roku rozkaz opuszczenia wsi. Kazano nam wyjeżdżać do Polski. Ojciec zamienił woły na konia, załadował rzeczy na wóz i udaliśmy się na stację kolejową do Łunińca. Zapamiętałem wysoką rampę kolejową, na której załadowano do towarowych wagonów cały dobytek, ludzi i zwierzęta. Pojechaliśmy w nieznaną.

Większość przesiedleńców osiadła we wsi Daszów koło Wrocławia, ale moja rodzina szybko przeniosła się do Słupska, a potem do Szczecina, co przesądziło o moich dalszych losach. Już jako dorosły człowiek zacząłem pływać we flocie handlowej, zwiedziłem prawie cały świat. Moi rodzice do końca życia marzyli, żeby pojechać choć raz w rodzinne strony, nad Białe Jezioro, ale nie pozostał nikt ze znajomych na Białorusi. Nie było nikogo, kto mógłby wysłać zaproszenie. W 1976 roku umarła matka, a trzy lata później ojciec. Przed śmiercią obiecałem ojcu, że zrobię wszystko, aby odwiedzić swoją „Małą Ojczyznę” – wieś Białe Jezioro. Po latach udało mi się spełnić przyrzeczenie. Wyjechałem na Białoruś w rodzinne strony i przez dwa dni chodziłem drogami pamięci. Odnalazłem lipę, na którą włożyłem jako dziecko i z której podziwiałem bezkresny krajobraz poleskich lasów. Znalazłem miejsce, gdzie kiedyś stał mój dom. Usiadłem na trawie i posiłem się zabranym z Łunińca chlebem. Pojechałem do Bostynia, ale nie znalazłem miejsca, na którym kiedyś była wykopana ziemianka. Zrobiłem sporo zdjęć. Wzruszyła mnie serdeczność i gościnność, jakiej doświadczyłem w czasie swojego mojego pobytu w rodzinnych stronach. Postanowiłem przyjechać tam znowu ze swoimi synami i wnukami, aby pokazać im Białe Jezioro, gdzie spędziłem swoje najmłodsze lata. Dzieci i wnuki powinni wiedzieć, skąd wywodzą się ich korzenie...